



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEĆ.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie;

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austryackiem w Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

POGA WĘDKA.

Krótki, lecz hałaśliwy był karnawał — tańczono wszędzie, nieumęczenie, codziennie prawie. Jeżeli wiem coś o nim, to tylko ze sprawozdań wszędybolskich sylfów dziennikarskich, którzy, zdając przed publicznością sumienny raport z tego, co na własne oczy widzieli i na własne uszy słyszeli, wszelką odpowiedzialność za wiarygodność słów swoich na siebie wzięli. Nie mamy żadnych powodów wątpić o szczerości sprawozdań owych wścibskich duchów, co to wszędzie wejdą i wszystko zobaczą; nie podejrzewamy ich wcale o niewinne rozmiłanie się z prawdą; zauważyliśmy tylko, że każdy ów sylf dziennikarski niezwykle jest grzeczny i ujmujący dla płci pięknej. Grzeczność ta nie jednak wspólnego nie ma z dawną, romantyczną rycerskością, która stawiała w obronie wybranej przez siebie bogini. Dla rycerza, o jakim w tej chwili mówimy, wszystkie są wybrane i wszystkie boginie; coś dziwnie motylego ma on w sobie, choć brak mu prawdziwej powiewności rzeczywistego motyla. Nowoczesny Cervantes dobrej-by nawet karykatury zeń zrobić nie potrafił. Nie motyl to, lubiący się upajać różnym nektarem, lecz jakiś fabrykant słodowych cukierków, preparujący „takowe“ wedle jednej i tej samej recepty. Jeżeliś przeczytał jedno tylko jego sprawozdanie z pierwszego lepszego balu, a miałeś zapowiedź, że nazajutrz obdarzy cię drugim z innego jakiegoś balu, na którym być nie omieszka: możesz, chcąc się natychmiast o tym drugim dowiedzieć, przeczytać pierwsze sprawozdanie i już mieć dokładną wiadomość o wszystkich następnych balach, choćby ich liczba była — legion.

Sprawozdawczy motyl upaja się wirem walców, wonią kwiatów — (skropionych często perfumami) — wszędzie widzi powiewne kibici, czar spojrzeń, cudowne oczy, które wprost oślepiają go, w koronki i jedwabie przybrane bóstwa olimpijskie. Rzekłbyś, iż był to zbiór samych tylko piękności, że gród syreni jest wybranym kątkiem cudnych, ale to jak cudnych! — niewiast.

Ale sylf dziennikarski jest grzeczny, zanadto grzeczny — podejrzewam go nawet o pewne tendencje arystokratyczne. Hrabianki i księżniczki wprost są czarodziejskie. Często wymienia nazwiska takich piękności, które same nawet, mimo wrodzonej każdemu człowiekowi miłości własnej, pretensyi żadnych do stawiania w ich szeregu nie miały. Ale on, sylf, zna naturę niewieścia: wie, że pochlebstwo — odurza. Szafuje więc tym narkotykiem, zapominając, że naddatek czasami sprawia skutek — emetyku. Rozumne kobiety poznają się na farbowanych lisach, czy na tej zdawkowej a zużytej grzeczności — głupie, staną się jeszcze głupszymi. Czy taki sobie cel założyli owi dziennikarscy sylfowie?

Najprawdopodobniej piszą oni — bez celu.

Gdybyż choć dowcip był — ale — brak go zupełny.

Żle!

Pustka w głowie, pustka w sercu staje się coraz bardziej udziałem naszym.

Bale były ożywione, że w ogóle udawały się znakomicie.

Inaczej z maskaradami.

Straciły one widocznie na kredycie.

Na maskaradach bywało albo pusto — więc niezabawnie, albo — jak na tomboli — tłok, nieożywiony wcale wesołością. Do tego maskarady publiczne mają to do siebie, że pod maskarą mopsa lub pod strojem błazna rzeczywiście mops lub błazen się ukrywa. Towarzystwo nie może się

nazwać doborowem, w istocie jest bardzo nawet nie dobrane. Są damy, niemające prawa nazywać się damami, są dowcipy, którym nikt prawa do tego przyznać nie zdoła. Zewnętrzna szata odznacza się niby elegancją, ale najpiękniejsza okładka książki może zawierać treść bardzo lichą. Pod rycerskim strojem maski ukrywa się nieraz rzeźmieszek; zagadkowe domino często kroć zbyt jawnie prezentuje się na ulicach miasta o zmroku. Ludzie przyzwyczajeni do pewnego wykwiutu w ruchach i słowach nie napełniają zbyt pochopnie sal redutowych, świat usunął się od maskarad, został — półświatek. Bawi się tłum przeważnie podejrzaną wartością, prawdziwy salon nie nawiedza tego salonu. Podczas tomboli nikogo, z tak zwanej klasy wyższej — nie było. Ze świata literackiego — prawie nikogo. Sylf dziennikarski rzeczywiście był obecny, no — i zachwycał się. Ci, co jeszcze nie byli ani razu na tomboli, nudzili się śmiertelnie. O intrygach nie mówię już.

— Znam cię! — odzywa się jakaś maseczka, trącając przechodzącego młodzieńca wachlarzem.

— To dobrze — odpowiada młodzieniec i — przechodzi.

Po co on przyszedł?

Albo należał do rzędu zblazowanych już młodzików, albo — co pewniejsze może — znał wartość mającej nastąpić intrygi.

Tłumy się jednak przesuwają we frakach, krakawatach i rękawiczkach białych.

Z dzienników jeszcze dowiedziałem się, krom tego, o czym wiedziałem sam, że: „reduty upadają“ — „tłoku i gwaru niema, eleganckich domin ani na lekarstwo, a dowcipu nie znalazłbyś z latarnią elektryczną“ — lecz, że „coraz częściej spotykamy w sali panów w zwyczajnych żakietach marynarkach, zamiast cylindrów pokazują

się czapki futrzane i barankowe, a lakierki zastępują... długie buty z cholewami“.

„Złe się dzieje i tak być niepowinno — woła oburzony sprawozdawca — jeżeli maskarady mają mieć swoją świetność, należy zachować przyjęte formy.“

Nam się zaś zdaje, że:

Zachowanie przyjętych form nie doda maskaradom świetności, chyba tylko pozorów. Do tego potrzeba humoru i dowcipu. Pierwszy zależy od bardzo wielu warunków, ostatni jest udziałem pewnego umysłowego rozwoju. Wiemy zaś z jakiego-to świata rekrutują się przeważnie uczestnicy zabawy, jakie-to osoby i osóbkki pod maseczkami się kryją. Autor, gorszący się zaniedbaniem balowego stroju przez panów, chce mieć koniecznie z nich piękny szpaler.

Dla kogo?

Przeważnie dla dam, z którymi ledwo gdy są pod maską rozmawiać możemy.

My-byśmy byli całkiem przeciwnego zdania. Tym raczej wolelibyśmy naśladować zwyczaj przyjęte powszechnie niemal zagranicą. Tłum zamaskowany się bawi—nie należący do niego są widzami zabawy, uczestnikami o tyle tylko, o ile zostaną zaczepieni przez jakąś maseczkę. Wchodzą więc w strojach dowolnych, pod rękę z kobietami w sukniach domowych, mąż z żoną, brat z siostrą i t. d. Sądźmy, że toby nie odjęło świetności zabawie, której cechą najważniejszą jest—intryga. Tymczasem i tej brak z powodów wyżej wspomnianych.

Obecnie maskarady udawać się tylko mogą w salonach prywatnych. Potrzeba do tego zamknięcia, stosunków. Wtedy wszystkie formy zewnętrznej nawet elegancji, zachowane być powinny. Nie ubolewajmy nad upadkiem maskarad publicznych. Przyszła króśka na Matyska. Upaść muszą — z powodu braku dowcipów, a z winy niedowcipnych osobników ukrywających się pod maskami.

Karnawał minął szybko, dużo westchnień za nim uleciało, jakgdyby jeszcze nie nabawili się ludziska, jakby wreszcie ów post, który do nas zawitał, groził rzeczywiście klauzurą zakonną, w której grzesznicy rozpamiętywują dni wśród szalu zabaw ubiegłe. Nie przebrzmiało jeszcze echo ostatnich dźwięków ostatniego mazura, a już tworzą się koła i kółka obradujące nad urządzeniem rautów. Trochę będzie ciszej, spokojniej, poważniej zresztą, lecz na brak rozrywek narzekać być nie powinno. Dobrze urządzony raut towarzyski ma wiele cech dodatnich, pomijając cel, na który urządany bywa. Na takich zebraniach właśnie ludzie poznają się lepiej, wiele sobie powiedzieć mogą i nauczyć się nieco. Krom tego sala ratuszowa otworzy swoje gościnne podwoje dla prelegentów. Odczytów będziemy mieli sporo, a głos wzięcia nierazko prawdziwi adepci nauki. Spotkamy tam starych znajomych naszych, którzy, podczas, gdyśmy się my bawili, rozkołysani wdzięczną muzyką Lewandowskiego — zapisywali skrętnie arkusz po arkuszu, by nam uprzyjemnić powoli wlokące się dni postu. Może też i do niejednej czytelnicy zajrzyjemy i jaka nowa książka na półkach naszej domowej biblioteczki się pojawi.

Z nowych książkowych wydawnictw zwraca tym razem uwagę moją zeszyt pierwszy dużego dzieła, opracowanego na podstawie swojskich i obcych źródeł, wyszły nakładem i pod redakcją dobrze wydawniczej literaturze naszej zasłużonego księgarza, Teodora Paprockiego.

Dzieło to, pokaźnych rozmiarów, bo po wyjęciu ostatniego zeszytu będzie liczyło do 1.000 stron ścisłego druku — nosi skromny tytuł: *Podręcznik księgarski*. Sądząc z tytułowej okładki ma to być tylko: *Przewodnik praktyczny dla wydawców, księgarzy, pomocników i praktykantów księgarskich*.

Nie jeden z czytelników, oszukany tytułem książki, odrzuci ją na stronę, sądząc, że ona mu się na nie przyda, a tylko może przynieść korzyść tym, o których w nagłówku mówi.

Omyliłby się jednak.

Dzieło to zapowiada się niezwykle ciekawie, i obojętnym dla szerszego grona pragnących pod

każdym względem rozszerzeniu wiadomości czytelników, być nie powinno. Pomijając, że o ruchu księgarsko-wydawniczym nie należący do niego najmniejszego pojęcia nie mają i częstokroć plotą, jak o wilku żelaznym: znajdujemy tam cenne wskazówki dotyczące się stosunków wydawcy do autora i autora do wydawcy, — niby to rzeczy błahe, w rzeczywistości zaś bardzo ciekawe i potrzebne.

Pierwsze-to dopiero u nas dzieło w tym rodzaju na światło dzienne się pojawia. Panowie księgarze potrzebę jego odczuwali oddawna, ale od przedsięwzięcia odstraszał ich koszt nie-małego nakładu. Ruchliwa firma Teodora Paprockiego nie zawahała się przed trudnością zadania. Dla łatwiejszego nabycia całego dzieła rozdzieliła całość na pięć zeszytów (w przybliżeniu), każda, po 10 arkuszy druku, z ceną aż nadto dostępną 75 kop. za zeszyt.

Zagranicą podobne wydawnictwo nie byłoby nowiną. Niemcy posiadają ich bardzo wiele; u nas dotąd obracało się to w krainie marzeń, bo tam gdzie w grę wchodzi niemały pieniężny wydatek, nie jeden musi przed siebie i za siebie się obejrzyć, zanim się weźmie do dzieła.

Nie ludzimy się, że szanowi czytelnicy moi, zechcą z pierwszej ręki dowiedzieć się: jak się to książka wydaje, co to jest właściwie drukarstwo, jaka jego historia, albo jak się *robią* ilustracye, na czem polega ich udoskonalenie i t. d. i t. d...

W pierwszym zeszycie, który mamy pod ręką, naczelną miejsce zajmuje sam *wydawca*, później *autorzy* i *wydawca*, dalej *wydawnictwo*, następnie, rozdział IV, *drukarstwo*, artykuł doskonale opracowany. Mamy tam historią sztuki drukarskiej, technikę tej sztuki, rzecz o rękopismach, obliczanie ich obszerności; co znaczy *wyбір czcionek*, korekta, jak należy ją czytać, jak obliczać kosztą druku. W rozdziale piątym jest rzecz o papierze, cała jego historia i sposoby przyrządzania; dalej idą ilustracye i rozmaite sposoby ich wykonywania, później artykuł o wewnętrznym układzie książki, o oprawie i broszurze i reklamie wydawniczej. Dział II tego zeszytu tłómaczy nam: co to jest *księgarnia sortymentowa*.

Suchy to jest wykaz, który uczyniliśmy, lecz czytelnik zrozumie łatwo, że rzecz cała prowadzona jest z konieczną w tym razie drobiazgowością, że nieraz mówi o przedmiocie dla bardzo znacznej większości czytającego ogółu nieznanym zupełnie. Zasługą nie małą współpracowników tego dzieła jest dobry, jasny wykład, gdzie potrzeba opatrzonej stosownymi rycinami a dobrym pisany językiem.

Raz jeszcze powtarzam: nie lekajecie się zbyt specjalnego tytułu książki; zajmie ona was więcej niż niejedna powieść niezadarna, której nieraz nie żałujecie parę godzin dziennie, godzin zupełnie zmarnowanych — poświęcie.

A oto jeszcze jedna książeczka, o której chcemy choć paru słowami nadmienić.

Autorem jej jest dr. Jan Sobierański, tytuł: *Pierwsza pomoc w nagłych wypadkach u dzieci*.

Są to wskazówki praktyczne dla osób w ogóle mających dozór nad dziećmi.

Wiedząc, jak to często, pomimo rzetelnej nawet pilności nad maleństwami, rozmaite wypadki spotykają rozbawianą lub rozbulaną dziatwę — i jak często, niestety, w podobnych wypadkach rady sobie dać nie umiemy: książka dr. Sobierańskiego rzetelną oddaje usługę niezaradnym częstokroć matkom i opiekunom i w każdym, dbałym o zdrowie młodego pokolenia, domu, znajdować się powinna. Nie każda jednak z matek i wychowawczyń uzna za niezbędne posiadanie takiego domowego poradnika.

Znacie dowcip naszego Stańczyka, prawdopodobnie od Ezopa pożyczony, który wygrał zakład, mówiąc, że najwięcej na świecie lekarzy się znajduje. Podwiązał twardz sobie i zaczął narzekać na ból zębów. Znając królewskiego błazna otoczył go tłum liczny krakowian i każdy z radą wystąpił. Ten taki a ten owaki środek

podawał - i Stańczyk długą listę tych improwizowanych medyków zebrał.

Od owego czasu nie o wiele zmieniły się rzeczy.

Rozetnij palec wypadkiem: a jeden ci zaraz poradzi papkę z chleba przyłożyć, inny będzie szukał pajęczyny, ten jest za obłożeniem rany mąką, ów najskuteczniejszy środek w zalaniu atramentem widzi. W podawanych tu środkach są rzeczy obojętne, ale i szkodliwe zarazem, jak np. zalanie atramentem. Do używanego dzisiaj inkaustu wchodzi często substancje trujące, które, zmieszawszy się z krwią, grożą nie rzadko utratą skaleczonego np. palca. Zdarzały się podobne wypadki, i to nawet między ludźmi mającymi nie byle jakie wykształcenie. Mając na uwadze te niby nic nieznaczące na pozór bagatelki, a w rzeczywistości przez nieumiejętność zaradzenia w danym wypadku, nie bagatelki wcale: zaniechajmy tradycyjną, domową medycynę, o której przypominamy sobie dopiero w danej chwili, zapominając, że atrament, wyrabiany niegdyś u siebie, różnił się bardzo od dzisiejszego szkodliwego fabrykatu — o zaopatrmy się w książeczkę dr. Sobierańskiego.

Chwilę temu, na pół godziny może przed zaczęciem tej pogawędki z wami, *vis-à-vis* mojego mieszkania zostało dość boleśnie oparzone dziecko pani X. Na krzyk malca i matki pobiegłem i odrazu podrażniłem powonienie moje nieznośny zapach nafty. Dziecko się darło w niebogłosy, widocznie użyty środek nie skutkował; kucharka radziła oparzeliznę mąką zasypać — przyniesiono mąkę, pokojówka do atramentu się wzięła. Nikt nie pomyślał, że na dole mieszka doktor. Ale po co doktor, gdy jest nafta, mąka i atrament?... Sprowadziłem więc sam lekarza i gdy się dziecko uspokoiło zagabnałem samą panią o tylko co wyszła z druku książeczkę dr. Sobierańskiego.

— Dawano mi w jakiejś księgarni, ale nie warta — odpowiedziała.

— Dla czego? — zapytałem ze zdziwieniem. Przejrzała pani?...

— Czytałam nawet rad parę.

— I co?

— Mówi się tam o rzeczach, o których od dawna wiedzą wróble na dachu.

— Naprzykład?

— Ktoś zaproszy oko... I wie pan, jaka na to rada?

— Słucham panią.

— Odeciągnąć powiekę, i delikatnie rogiem chusteczki wyjąć obce ciało.

— Czy pani uważa, że to zły sposób?

— Ależ stary jak świat — któż o nim nie wie?!

Ba! zapewne, że wiedzieć każdy powinien, a jednak często bardzo tych prostych sposobów ludzie nie wiedzą. Uderzający mamy dowód pod ręką.

Roku zeszłego, podczas silnych mrozów, młoda i ładna panna na ślizgawce odmroziła nos sobie. W klimacie, jakim jest nasz, gdzie mrozy i to czasem nie lada mrozy, zawsze nas nawiedzają, podobne wypadki odmrożeń są rzeczą codzienną niemal. *Każdy* powinien wiedzieć, że najlepszym a nawet jedynym, środkiem jest pocieranie obrażonego miejsca — śniegiem, dopóki cyrkulacja krwi nie powróci, o czem dowiadujemy się za pomocą *czucia*. To prostsze niż wyjęcie rogiem chusteczki obcego ciała z oka: a przecie młoda i ładna panna i prawdopodobnie nikt u niej w domu nie znał tego prostego sposobu i zamiast znieczulone miejsce nacierać śniegiem, zrobiono ciepłe okłady z wody.

I jaki rezultat?

Młodej i ładnej pannie nos odpadł. —

Nie było książeczki d-ra Sobierańskiego — teraz pojawiła się. A zatem?...

Zaledwem postawił znak zapytania, silny odgłos dzwonka przerwał pogawędki moją z wami. Wpada do mnie mój dobry znajomy i woła:

— Bierz czapkę, kalosze i śpiesz!..

— Co? co?..—zawołam nieco zaniepokojony.— Czy dach się nad głową pali, czy ma być trzęsienie ziemi, czy może kometa dr. Falba, nie czekając na oznaczony termin smutnego proroctwa, ma już świat do góry nogami wywrócić? — Co? co takiego?

— Lody na Wiśle ruszyły! —

Namówił—poszedłem... ale nie doszedłem do Wisły. Jak ruszają lody na Wiselce naszej, widziałem nieraz, ale nie widziałem jeszcze obrazu Medowic'a na wystawie u Krywulca.

Pożegnałem więc towarzysza na Krakowskim Przedmieściu, on ruszył prosto przed siebie, ja zakreśliłem na lewo, do Hotelu Europejskiego.

Obraz uczynił na mnie wielkie wrażenie: piękny jest w pomyśle, w wykonaniu niemal bez zarzutu.

Jest to uczta Bachusa w starym Rzymie, prawdziwa uczta rozbawionego pogaństwa, wierzącego tylko w siłę pięści, nieznająca jeszcze innej potęgi, która się siłą ducha zowie.

W perspektywie ołtarz poświęcony bogu wesółości, tuż koło niego pijana buchanka rzuca się w skokach tanecznych i potraça stopą leżące trupy ofiar chrześcijańskich. Bliżej i dalej, na stopniach marmurowych schodów, spoczywają pomordowani okrutnie wyznawcy nowej wiary; krew ścieka po płytach kamiennych, dym z kadzielnicy rzymskiej unosi się w powietrze i znaczną część tła obrazu pokrywa mgłą szarą. W półkolu, w togach siedzą patrycyusze i albo z obojętym wyrazem twarzy, albo z pijanym uśmiechem dzikiego zadowolenia przypatrują się uczcie krwawej. Jeden z nich tylko, siedzący u kolumny po lewej stronie obrazu, ma jakąś posepność na twarzy. Snadź budzi w nim się pytanie: po ci ludzie tak lekko życie tracą, dla jakiej idei? dla jakiego boga? Chwilę jeszcze — a odpowiedź znajdzie w swem sercu, w rozumie może.

Na pierwszym planie obrazu widzimy dwie kobiece postaci przypatrujące się tej orgii szaleńców. Są one uosobieniem historii i poezji, które podadzą potomności tę śmierć bohaterską męczenników prawdy nowej.

Żałujemy, że artysta nie ukazał nam twarzy tych postaci. Posepne tło obrazu nabrałoby większej powagi, wypełniłoby się wyrazem tych twarzy, z których powinien tryskać spokój posągowy historii, i blask natchnienia w postaci poezji.

Jak jest, tak jest — ale obraz godzin jest widzenia.

Lecz któż jest ów Medowic? —

Z pochodzenia Serb, mnich z powołania, malarz z łaski Bożej.

W celi klasztornej oddawał się malowaniu obrazów świętych. Aż oto poczuł nieukołysane pragnienie stworzenia wielkiego dzieła. Zrzucił więc szatę zakonnika, wyjechał do Monachium i tam ucieleśnił swój pomysł, który nazwał uczta Bachusa. Po dokonaniu dzieła wrócił znów do swego klasztoru, póki nowy płomień nie zapalił się mu w duszy, nowa myśl nie rozogniła serca.

Prawdziwy artysta!

22

Dr ANTONI JÓZEF ROLLE.

(Dokończenie).

Malowniczość stylu, połączona zawsze z przedmiotem budzącym zajęcie, sprawiła, że utwory D-r Rollego były i są dotąd bardzo poczytne, bardzo zajmujące. Znaczne miejsce dał on tu kobiecie i obok pojedynczych postaci niewieścich skreślił w szkicu „Gospodarstwo naszych prababek“ charakterystykę kobiety naszej w życiu rodzinnem wśród pracy domowej, wykazując zasługi matki i małżonki, a ostatnia jego praca literacka, drukowana w *Bibliotece Warszawskiej* w ostatnich numerach z ubiegłego roku, była też poświęcona kobiecie: „Kobiety na dworze Czehryńskim w dru-

giej połowie XVII wieku.“ Ale obok pisarza, którego krytyka literacka sądzi na podstawie zasług oddanych piśmiennictwu, jest przecież jeszcze człowiek uczciwy, pracowity, otoczony szacunkiem i miłością ludzką, jak świadczą oznaki cześci i sympatii okazywane jwobe czwłok jego. Śmierć przyszła niespodziewanie po krótkiej chorobie, w dniu 21 przeszłego miesiąca; zamknął oczy wieczorem, jak robotnik pracowity, który odchodzi cicho na odpoczynek po trudach, a trumnę jego zasłano wieńcami, złożonemi przez osoby z różnych sfer, różnych stanów. Był tu wieniec z napisem: „Ukochanemu Józefowi Rolle od przyjaciół“ był „od wdzięcznych dzieci za ocalenie matki.“ „Od lekarzy konsultantów szpitala uczciwemu pracownikowi i towarzyszowi,“ „Od lekarzy podolskich członkowi honorowemu,“ „Od żydów miasta Kamieńca,“ „Od Towarzystwa pomocy dla uczących się.“

Dowód to jest jak był kochanym i szanowanym, chociaż, pracując jako lekarz i jako literat, nie miał dość wolnego czasu na odwiedzanie znajomych, i brakło mu go nieraz na odpoczynek, na zajęcie się rodziną. Był członkiem honorowym miejscowego komitetu statystycznego, członkiem honorowym Tow. Lekarskiego, lekarzem seminarium duchownego i dziwić się trzeba, jak mógł znaleźć czas na studia historyczne, na czytanie kronik, pamiętników, przeglądanie archiwów rodzinnych—na pisanie? W wielkiem zamiłowaniu przedmiotu, który opracowywał, leży tajemnica jego przykucia się do książki, do pióra, czemu przychodził z pomocą talent wyższy tak, jak dobroć serca nie dała mu porzucić zawodu lekarskiego, przez który rozsiewał dobrodziejstwa wśród ubogiego ludu. Można też powiedzieć, że życie jego dzieliło się na dwa rodzaje pracy, tak poświęconej społeczeństwu że jego własna osobistość usuwała się na bok.

Szczegółów z historii tego życia, jest niewiele. Urodził się w 1830 r. we wsi Henrykowce w okolicach Kamieńca Podolskiego, w dobrach księcia Lubomirskiego, niedaleko Szarogrodu; pierwszą naukę szkolną pobierał w Niemirowie, następnie w Winnicy i w Białocerkwi; studia lekarskie odbywał w Kijowie. Pomimo tego, że literacki jego talent musiał go pociągać w stronę inną, młodzieńiec spełnił wszystko, co ukazywało mu się pod postacią obowiązku: z pod woli ojca się nie wyłamywał, niemniej nie zagłuszył w sobie natchnienia, które kazało mu zwracać się ku czemu innemu. Czy przecież nie stała się tu szkoda? Czy nie byłby się wytworzył z niego badacz dziejowy wyższego znaczenia? to pytanie, które postawić można w obec historii niejednego istnienia ludzkiego.

Zamiłowanie przedmiotu dodawało mu siłę i skrzętności. Umiał się wywiadywać o zbiorach rodzinnych, umiał się dostać do nich, jednając sobie tem gorącym zamiłowaniem pracy swojej szacunek ludzki. Pierwsze z rzędu trzy tomy, obejmujące: „Zameczki“ bardzo życzliwie przyjęte przez krytykę, a zarazem przez czytelników, stały się pierwszym stopniem tego uznania, którem Rolle cieszył się już stale. „Opowiadań“ jego zawsze bardzo poczytnych, było seryi dziewięć, wydanych w Warszawie nakładem Gebethnera i Wolffa. Obok „Niewiast kresowych“ są tu monografie ściśle historyczne, portrety literackie, dalej „Wspomnienia,“ jak „Rodzina Malczewskiego,“ „Z życia Zygmunta Krasińskiego,“ a wszystko to odznacza się nietylko stylem szlachetnym i barwnym: autor mieści tu w rysach drobnych wybitną charakterystykę osobistości, które pióro jego stawił przed czytelnikiem i tła, na jakim roztaczało się ich życie. Jest to więc praca wyższego literackiego znaczenia; zajmuje też w literaturze miejsce, jakie się należy jego talentowi, jego twórczości obfitej, która wykazuje gorące zamiłowanie, poświęcenie się pracy swojej.

Był obok tego Rolle korespondentem wielu pism peryodycznych a między innymi *Wieku*. Ostatnia, którą skreślił w dniu śmierci, miała za przedmiot kwestyę Frankistów, o czem pisał do Kraushara dodając, że zajmował się nią przed dwudziestu pięciu laty w czasie, gdy pisał „Zameczki,“ której—to pracy rozdział jeden poświęcił omemu przedmiotowi. „Zameczki“ drukowały się w Krakowie, gdzie mu ze wspomnianej pracy zagubiono

ten rozdział. Rękopism darował komuś z przyjaciół, więc rzecz przepadła dla czytelników. „Napiszę tedy o Frankistach, nie dotykając ich dogmatów i dysput, tylko ludzi, którzy brali w nich udział,“ pisał, a w kilku godzin potem ręka, która tyle szlachetnych pięknych prac skreśliła, martwą się stała; ale prace jego nie przeżyją się prędko i będą zajmowały wiele pokoleń czytelników, wdzięcznych mu za to, że je skreślił.

F.

PIERWSZY WYSTĘP

NOWELLA

SEWERA.

(Dalszy ciąg).

* * *

Ubrany paradnie, w białym jak śnieg kołnierzyku, wyprasowanym przez matkę, uroczyście, błady ze wzruszenia, wyszedł.

Serce mu biło, nerwy nim szarpały, co chwila przystawał—i znów przyspieszał kroku.

— Raz trzeba coś stanowczego zrobić: zapisać się na prawo lub zostać artystą. Raz trzeba się przekonać: czy mam talent lub czy go nie mam? Mam przed sobą przyszłość artysty, lub przyszłość sędziego, a najwyżej — notaryusza.

A więc, w imię Boże, śmiało!

Stanął przed wielką kamienicą przy ulicy Sławkowskiej i zadumał się. Miał ochotę cofnąć się, lecz, popychany jakąś tajemnicą siłą, wszedł. Po medytował przed drzwiami drugiego piętra, chwilę walczył z nieśmiałością, przeżegnał się, zadzwonił. We drzwiach ukazał się sympatycznej powierzchowności, o przenikliwym spojrzeniu, w siłę wieku mężczyzna.

— Panie reżyserze — szepnął Józio, rumieniąc się i blednąc—pragnę być artystą.

— Jakim?

— Dramatycznym.

— Chodź-no pan bliżej--wprowadził go do saloniku. Siadaj, spojrzij mi w oczy szczerze, serdecznie i powtórz: czem chcesz być?

— Artystą dramatycznym—odparł chłopiec nabierając odwagi i pewności siebie.

— Zdałeś maturę?

— Z odznaczeniem w tym roku.

— Z odznaczeniem? i chcesz przyszłość swoją zmarnować, skazać życie swe na poniewierkę, młodość na męczarnie, zawody, upokorzenia, a starość na głód!

— Nie myślałem o tem — odpowiedział cicho, lecz stanowczo.

— Młodość nigdy nie myśli, nie lubi się zastanawiać, nie umie kombinować i patrzeć jasno i krytycznie.

— Powołanie...

— Co za powołanie! przerwał mu artysta.— Co za powołanie być komedyantem na scenie, a paryą w życiu! Niema cięższego kawałka chleba...

— Nie chcę być zjadaczem chleba — przerwał Józio.

— Ale musisz jeść, aby żyć: rozumiesz, młodziuże?..

— Wolę nie żyć, jeżeli mam żyć, aby jeść — odpowiedział rezolutnie chłopiec.

— Nie chcesz żyć, aby jeść: to mi się podoba—powtórzył cicho, — to mi się podoba. Ależ przecie można na wszystkich polach, we wszystkich zawodach jeść, aby żyć.

— Prawda, lecz ja mam nieprzeparty pociąg i zamiłowanie. Panie reżyserze, ja już niezem nie mogę być, jak tylko artystą.

— Dobrze, a czy również masz nieprzeparty pociąg być na łasce pierwszego lepszego przedsię-

biercy, który, ładując kieszenie, będzie tyle dbał o sztukę i tyle się o nią troszczył, co o życie cesarza japońskiego? I czy również masz nieprzeparty pociąg być przez lata całe spychanym na ostatni plan, grać lokaj lub idyotów, gdy faworyci będą dostawali twoje role? Czy również masz nieprzeparty pociąg do zakulisowych intryg i zawiści, aby w rezultacie miernoty były górą nad tobą? Czy również masz nieprzeparty pociąg pobierać pensji trzydzieści guldenów na miesiąc? Tu już zasada żyć, aby jeść upada, albowiem nie będzie co jeść, aby wyżyć.

— Wystarczy — odparł Józio spokojnie — na izdebkę w poddaszu. Tam się schowam z moim Słowackim, tam będę żył, czekając na sprawiedliwość.

— A gdy się jej nie doczekasz?

— Gdy się jej nie doczekam, przepędzę życie ze Słowackim, Szekspirem i z moimi ukochanymi poetami. Nie będę na towarzystwo narzekał.

Artysta, zwyciężony poetyczną serdecznością chłopca, wyciągnął do niego rękę, uściśnął go i pocałował.

— Nie będziesz ty, mój biedaku, szczęśliwym w życiu, ale za to możesz mieć tak jasne chwile, że ci ich pozazdrościć mogą mocarze tego świata.

— Dziękuję — odparł chłopiec, pochylając się do ramienia artysty.

— Zrobiłem swoje — i nie będę cię miał na sumieniu. Ciężki to zawód, szarpiący nerwy, suszący mózg, niszczący siły — a mimo to przykuwa do siebie, można się do niego przywiązać, zakochać w nim, a rozstać się wraz z życiem. O, to są tajemnice kulisy — i dlaczego my je tak kochamy? Za temi malowanymi płótnami kryje się poezja, sztuka, i ich objawienie — prawda.

— Świątynia — zawołał z entuzjazmem Józio.

— Często profanowana. Jednak kościół, kryjący w swych murach bóstwo, zawsze kościołem zostanie.

Józio potakiwał głową, artysta wyciągnął do niego rękę.

— Powiedz mi, młody kollego, jaki rodzaj ról najwięcej ci się podoba? Do jakich masz najwięcej pociągu?

— Do wielu — odparł — lecz najwięcej przypada mi do smaku postać Mazepy Słowackiego.

— Rola to sympatyczna, lecz arcy-trudna. Wytrawni artyści często kręcą na tej roli karki. Lecz spróbujmy. Zadeklamuj z „Mazepy“ co chcesz i co umiesz. Nie lękaj się, śmiało, jak przed przyjacielem.

Józio powstał blady, nabrał w płuca powietrza i zaczął przyciszonym ze wzruszenia głosem:

„Zbigniewie mój, z tym biednym kłócący się [światem] Walką wrącego serca, mój drogi! szlachetny! Ty mi się podobałeś; ty w tym zamku, świetny jak rycerz dawnych czasów, ująłeś mi serce, Słuchaj! twój pożar jeszcze w malenkich iskierce, A już cię strawił....“

— Nie źle, nie źle. Jest głos, zapal i uczucie, trzy dźwignie talentu. A teraz proszę o ustęp li ryczny. Naprzykład: scenę czwartą aktu V-go. Spotkanie Mazepy z Amelią. Śmiało!...

Ożywiony grą i radością z większą już swobodą i energią, z większą pewnością siebie deklamował:

„O nie! na czole mojem krwi nie leży plama... Jam go nie zabił. Słuchaj, gdyśmy byli w lasku Brzozowym, przy księżycu ujrzałem go blasku Bardzo smutnym i bladym. Co? serce ci bije? On mi się rzucił pierwszy z uściskiem na szyję I położywszy głowę mi na pierś bijącą, Milczał długo i rękę moją trzymał drżącą.“

Artysta widocznie został ujęty serdecznym tonem i pieszczotliwością deklamacyi.

— Ależ stać kochanego pana na i lirykę. Odczuwasz i rozumiesz to, co mówisz, a to ważna rzecz. Słuchacze będą również czuć razem z panem. Tym-to sposobem porywa się massa.

Uśmiechnął się zadowolony i zamyślił.

— Tylko nie sądź pan czasem, że jesteś już artystą, że umiesz cośkolwiek bzd.

— Ależ, panie reżyserze, — odezwał się z uniesieniem chłopiec, — ja wiem i rozumiem, że nawet po scenie chodzić nie potrafię, a cóż dopiero grać...

Zakłopotany, urwał.

Pocziwy reżyser odczuł szczerą radość chłopca.

— I chcesz się pan uczyć? — dokończył.

— Marzę o tem.

— Mnie wybrałeś za nauczyciela?

— Nie odpędzaj szepnął.

— A któżby śmiało odpędzać i maltretować tyle zapału! — Reżyser spoważniał. — Żarty na bok. Rozumiem, że na scenę nie pecha cię kawałek chleba. Jestem nawet przekonany, że na innym polu znalazłbyś go więcej, lepszy i prędzej. Idziesz na scenę dla tego, że cię pecha święty ogień i zapal do sztuki, idziesz, bo musisz i nie możesz być niczem, jak tylko artystą. Zjadaczem chleba nie będziesz. Podaj mi rękę, młody kollego, pracujmy razem!

Uszczęśliwiony chłopiec z zasklonem przez łzy oczyma pochylił się do ramienia zacnego człowieka. Reżyser pocałował go w czoło, jak gdyby tym pocałunkiem, używanym z pierwszych czasów chrześcijaństwa, dał mu znać, że go przyjmuje za brata w sztuce.

— Jeżeli nie mogło stać się inaczej, niech się dzieje co się ma dziać, ale niech się dzieje dobrze. Jeśli fatum kazało ci być artystą, bądź dobrym, zasłuż się w swym zawodzie sztuce i krajowi. Dziś nie mam czasu, za chwilę próba, o szóstej gram. Lekeye możemy zacząć od jutra co dzień, lub co drugi od trzeciej do czwartej.

— Jak się mam przygotować?

— Czytać będziesz prozą, a zaczniemy się uczyć „Mazepy“ — ponieważ kochasz Słowackiego.

— Kocham Słowackiego — szepnął wzruszony chłopiec. — Rola Mazepy mnie ciągnie.

— Łamię na niej karki, i ty swój złamiesz, lecz co to szkodzi?

Wyszli razem. Młodemu chłopcu radość rozsadzała serce. Pijany wzruszeniem, pożegnał artystę i popędził, sam nie wiedząc gdzie.

Stał na rynku. Gdzie iść, do kogo, przed kim się pochwalić? Radby świat cały przycisnąć i wołać na cały głos: jestem artystą, słyszycie, wielkim artystą! Raptownie uczuł, że jest wobec sztuki sam na świecie, że nie ma się przed kim zwierzyć, z kim cieszyć.

— Matka — ona jedna mnie zrozumie — zawołał i zamilkł. — Przecież matka powiedziała mi wczoraj, że mnie stać być czemś lepszem nie aktorem. Sprawię jej tylko boleść, wycisnę łzy... Na łzy i smutek ma czas. Stefa dziecko jeszcze. Ojciec?.. — przeżegnałby się i pomyślał, że oszalał!...

— Mam przyjaciela i kolegę, który również rwie się do teatru, — zawołał. Chciał biedz do niego, ale nie wiedział gdzie go szukać. Zadumany nad swym losem, zwrócił się mimowolnie do jedynej przystani — do Roszkowskiego.

Na górze było pusto. Usiadł przy oknie, obstawiał się dziennikami, lecz ich czytać nie mógł.

Po chwili z pod podłogi wychyliła się głowa starego komika. Ogolona twarz, włosy krótko ostrzyżone, duże niebieskie mrugające oczy, a na ustach błakający się uśmiech. Spojrzał, spostrzegł Józia, wszedł do środka

— Witam kochanego kolegę, odezwał się niespodzianie:

Józio się zerwał zdziwiony.

— Nie zapieraj się — mówił wesoło komik — wiem wszystko od naiwnej i basta.

— Wiesz pan?

— I myślisz, że cię będę przerażał, straszyl, zniechęcał odwoził? — nigdy! Co do mnie, gdybym drugi raz przyszedł na świat, niczem-był nie został, tylko aktorem. Byle trochę talentu, byle umieć jako tako przemówić do serc ludzkich, ująć je, pozyskać dla siebie: reszta sama przyjdzie. A więc, jeżeli masz odrobinę talentu, kpij sobie z całego świata, idź w służbę do „sztuki“ zapisz się na listę kandydatów i bądź dobrej myśli... I coż tak oczy wytrzeszczasz?..

— Rozważam słowa i rady łaskawego pana — odparł Józio.

— Dobry aktor nigdy nie rozważa, idzie tylko za natchnieniem. A że natchnienie pecha cię na deski teatru, słuchaj go. To cała tajemnica życia.

— Może pan pozwoli herbaty lub czekolady?.

— Lepiej każ dać kieliszek madery: zmęczyłem się dziś i spracowałem.

Józio, wdzięczny za to, że komik raczył przyjąć od niego poczęstunek, zawołał o maderę. Szczerą radość aktora, jego dobry humor, zadowolenie ze swego stanu, pociągały go ku niemu.

— Tobie, mój drogi — prawil dalej komik — uśmiecha się wszystko. Skończyłeś szkołę, idziesz prostą drogą, masz podobno ojca, matkę, dom. Inaczej było ze mną.

— Jakże było z panem? — spytał ciekawie chłopiec.

— Jak? — długa to historia. Sierota — dokucało mi; uciekłem ze szkół i poniewierałem się po świecie, póki nie przystałem do wędrującej trupy. Całe szczęście, że miałem talent! Od towarzystwa do towarzystwa, coraz wyżej, po paru latach, dostałem się do trupy Teksla. Tam dopiero uczułem, że jestem w raj!

Zaśmiał się głośno.

Przed samą wiosną dawaliśmy przedstawienia, w Płocku i dobrze nam się wiodło. Jak raz, zakochałem się w tamtejszej „naiwnej“, ona — we mnie. Nieszczęściem dla nas, panem jej, tyranem i prześladowcą był „czarny charakter“. Domyślał się czegoś i szpiegował nas zawzięcie. Zaledwie wtedy tylko mogliśmy poszeptać ze sobą, gdy grał.

Stan ten dręczył nas, „czarny charakter“ jak sęp zawisł nad nami, naiwna się go bała, dyrektor go cenil i słuchał.

Uciekać — nie było innej rady.

Na ucieczkę zgodziła cię z zapalem naiwna, lecz nie wiedzieliśmy dokąd drapać...

(Dalszy ciąg nastąpi).

RUCH MUZYCZNY.

Nekrolog Karnawału. — Grzesznicy i wybrani. — Towarzystwo Muzyczne. — Kreisler, Pani Menter, Wolfsthal. — America Montenegro. „Słynny“ Kwartet Cellarius'a. Panna Wąsowska. Teatr. Pan Durot w Proroku. Pani Leonarda. Pani Konarska. Pan Jerzyna. Pan Schirmann i pani Hausmann. Finale.

Błogosławionej pamięci karnawał tak był krótki, ja piękne czytelniczki „Bluszczu“ tak zaabsorbowane jego sprawami, że pora nie wydawała nam się zbyt stosowną do nudzenia ich kroniką życia muzycznego Warszawy. Obecnie, gdy już ten nieboszczyk zamknął powieki, zrobmy z nim rachunek sumienia, i wyliczmy jego grzechy i cnoty, a raczej grzechy i cnoty tych, którzy w czasie jego trwania uszczęśliwiali nas swymi talentami. Z przyjemnością zaznaczyć tu wypada, że liczba „sprawiedliwych“ o wiele przewyższyła liczbę potępionych, lubo i tych ostatnich nie brakło.

Świetną w czasie tym sześciotygodniowym działalność rozwinęło Towarzystwo Muzyczne, dawszy nam szereg interesujących wieczorów, rozpoczętych w dniu 3-m Stycznia pod egidą dwóch znakomych imion: słynnej fortepianistki, pani Zofii Menter, oraz młodego, mało znanego dotąd w świecie muzycznym skrzypka, p. Fryderyka Kreislera. O pani Menter pisać obszerniej wyglądałoby to wedle przysłowia: „sowy do Aten sprowadzać.“ tak dalece imię tej mistrzyni fortepianu ogólnym cieszy się rozgłosem. Czy i sympatya? Tego powiedzieć nie można. Publiczność jest jak ów spektator rzymski w cyrku; pragnie wzruszeń za jaką bądź cenę, i jeżeli dziś nie może widzieć chrześcijan pożeranych przez dzikie zwierzęta, to jednak pragnie w manifestacjach estradowych widzieć jak na dłoni serce człowieka, wraz z jego cierpieniami i nadziejami, pragnie wespół z artystą śmiać się i płakać,

i z pewnością zgodzi się raczej na przesadę w tym kierunku, niż na chłodną sztywność. Właśnie talent pani Menter, okraszony techniką zdumiewającą, precyzją i siłą fenomenalną niemal, nie posiada tego wabika, tego uroku, który publiczność przyciąga i zapala. Można powiedzieć że artystka ta imponuje techniką, jeżeli w ogóle cokolwiek dzisiaj przesyconym słuchaczom imponować może... Jakkolwiek w Sonacie Szopena były przebliski poezji i wdzięku, jednak i tym razem tryumf pani Menter skoncentrował się głównie w utworach Liszta, które istotnie gra nieporównanie.

Zupełne przeciwieństwo stanowił towarzyszy pani Menter, Kreisler. Ten artysta jest, rzec można, wcielonym temperamentem i od razu „bierze“ swoją publiczność. Jego muzyka od pierwszych taktów drga życiem i przykuwa uwagę z tą samą siłą, z jaką działa na widza każdy dramat sceniczny. Wprawdzie język muzyki, nie popartej słowami, jest zbyt tajemniczy, aby go na treść dramatyczną przerobić można, ale zapal wykonawcy udziela się ogólnie z siłą elektrycznego prądu i słuchacz daje się porwać uniesieniu, nie rozumując zbyt ściśle na czem się ono opiera. W tym artyście, tak młodym, że biografowie (*recte* przyjaciele) nie dają mu więcej nad lat 19, kipi istotnie taki wulkan życia, taka radość z posiadania nie zawodzącej nigdy techniki, takie zuchwałstwo i lekceważenie młodości, że podziwiamy go jako unikat i idziemy za nim wszędzie gdzie nas poprowadzi. Technicznie gra jego stoi bardzo wysoko; wykształcony w konserwatorium wiedeńskim, następnie w Paryżu u Massart'a, łączy on poważne zalety niemieckiej szkoły z francuską elegancją i lekkością smyczka w staccatach rzadką. Specjalnością jego jest lotność w pianissimach, tryl i... mazury, które gra z takim zacięciem, jakby się w Warszawie urodził. Istotnie z Krakowa pochodzi jego ojciec, dziś osiedlony w Wiedniu lekarz, prawo więc atawizmu dało nam tu nowy dowód swej siły.

Kreisler grał w Warszawie trzykrotnie, bo dwukrotnie w Towarzystwie Muzycznym, a raz w Wielkim Teatrze, budząc za każdym razem żywe zajęcie, a za ostatnim zachwyty, w jaki nawet nasza publiczność wpada rzadko. Jeżeliby się sprawdzili pogłoski, że znakomity ten wirtuoz jeszcze raz da się u nas słyszeć, moglibyśmy tylko się z tego cieszyć, gdyż taka gra nie wyczerpuje się, i zajmuje co raz bardziej andytoryum.

Prawdziwy róg obfitości wysypał nam w owym pamiętnym karnawale skrzyków dobrych, a nieznanych, aż troje — oprócz bowiem Kreislera, należy się wzmianka zaszczytna pannie Ameryce Montenegro i panu Wolfsthal. Pierwsza artystka, którą nasz przyjaciel Quis słusznie nazwał dziwną kombinacją geograficzną, jest rzeczywiście włoską, która dzieciństwo swe spędziła w Ameryce, i umyśliła z tej części świata utworzyć sobie — symboliczne imię. Nic dziwnego; Ameryka jest dziś synonimem powodzenia i — dolarów. Naukę „Ameryka“ pobierała w Neapolu u Bazzini, i przyznać należy, że rezultaty tych studyów tak dla mistrza, jak dla uczennicy są wielce zaszczytne. Technika jest dobrze rozwinięta, pojęcie duchowe kompozytów wierne — jeżeli niekiedy zbyt żywy temperament nader młodziutkiej artystki prowadzi do małych zboczeń od czystości stylu, to lekkie owe usterki zacierają wdzięk młodości, i to przeświadczenie, że każdy niemal talent prawdziwy, w swojej *Drang - Periode* ma takie chwile. Zbytek w tym razie nie dziwi, bo jest bogactwem z którego coś ująć można bez szkody, podczas gdy braku temperamentu nie nie zastąpi. Spokój akademicki! — cenny to przymiot, i przez wielu uważany za ideał sztuki — Jest to w samej rzeczy jej arystokracja, ale wiadomo, że idea arystokracji traci już trochę myśkę, i ogólnie mniej dziś niż dawniej imponuje Akademii ze swymi nieśmiertelnymi czterdziestu fotelami. Na jednym z nich mógłby śmiało zasiadać profesor lwowskiego konserwatorium, pan Wolfsthal. Gra tego wybornego artysty posiada wszystkie przymioty zewnętrzne, wymagane zwykle od wirtuozów: technikę niepoślednią i pewną, pojęcie duchowe pełne prawdy i poprawności, szczeg. jak teryce, oktawy, spicca-

ta, pizzicata etc. etc. w zupełnym porządku. Ale słuchacz wychodząc z koncertu doznaje takiego wrażenia, jak kiedy wraca z rautu, na którym nie brakło niczego, ani pięknych kobiet, ani wina, ani kolacyi, tylko brakło uprzejmości ze strony gospodarstwa.

Dotychczas nasze sprawozdanie przemyka się swobodnie wśród karnawałowych ścieżek, nie zatrzymując o żaden kamień obrazu, nie ostrzegając noża przeciw nikomu. Do rzędu arcymlących wspomnień należy występ w Towarzystwie Muzycznym panny Maryi Wasowskiej. Fortepianistka to wysoce sympatyczna, władająca przede wszystkim techniką poprawną jak rzadko, a następnie umiejacą nieraz okraszyć tę technikę wdziękiem i życiem. Jej gra, naturalna choć wysoce wyrobiona, sprawia wrażenie wartkiego potoku, płynącego wesoło wśród krajobrazów umajonych kwieciem i zielenią. Jej nurty nie lubią się przegłębiać w przepaścistych skalach, w rozpaczą zięjących ruinach, w zamkach, do których krwawe legendy przywiązała tradycja. Artystka ta pełna zalet nie obejmuje horyzontów olbrzymich, ale zakres, w jakim się streszcza jej działalność, umie pomistrzowski wypełnić. Jej gra palcowa jest świetna, smak wytworny — przy ustępach bardzo silnych mniej potrzebnie stara się o ton wielki, co ręce jej trochę męczy. Cieszymy się, że oprócz nas i zagranicą, mianowicie Wiedni i Berlin, oddały już sprawiedliwość talentowi znakomitej artystki.

Czytelniczki, które w prospekcie niniejszego artykułu czytały o „potępionych“ i rade-by coś o nich się dowiedzieć, niech raczą przeskoczyć do końca artykułu, gdyż lista naszych „wybranych“ jeszcze bynajmniej nie wyczerpana. Przechodząc do sfer teatralnych, powiemy szczerze, że mało o kim pisać można z taką przyjemnością, jak o pani Konarskiej, która trzema swemi występami wyjątkowo żywe obudziła zajęcie. Dała się słyszeć dwukrotnie w „Pajacach“ Leoncavall'a, i raz w „Halce“ Moniuszki. Do zalet, w ogóle idealnie rzadko spotykanych, należy naprzód ta okoliczność, że pani Konarska śpiewa doskonale, i że w cało-wieczorowej długiej produkcji, takiej na przykład jak Halka, żadnej wady, żadnego usterku dopatrzyć niepodobna. Każdy ton wydobyty jest pięknie, naturalnie, bez fors, i — czy to, (co nie jest nawet na scenie, tak pospolitem, jak to wielu mniema), oprócz tego cała rola w szczegółach jest doskonale obmyślana i opracowana — każdy frazes ma charakter właściwy, cieniowanie wszędzie logiczne i inteligentne; nawet gra jest tak dobra, jak gdybyśmy z artystką już rutynowaną mieli do czynienia. Szczególnie zadowolniło nas wykonanie trudnej partii „Halki“. Jakkolwiek bowiem sam materiał wokalny nie należy do olbrzymich, ale jest on wyzyskany z taką umiejnością, że na potrzeby partii, nawet tak silnie dramatycznej, najzupełniej wystarcza. Teatr, jeżeli zechce zatrzymać w swem gronie panią Konarską, zyska miejscową primadonnę zdolną utrzymać na swych barkach często teraz szwankujący repertuar.

Z niemniejszym uznaniem sprawozdanie nasze zaznaczyć musi przybycie do naszego miasta wysoce utalentowanej mezzo-sopranistki, pani Emmy Leonardi. Pani L. ma już za sobą lat dziewięć kariery scenicznej, co i w jej wytrawnej grze i w ogólnym traktowaniu ról się przebija. Głos jej jest niezwykle obszerny, obejmuje bowiem wygodnie przeszło pół-trzeciej oktawy — ma bogate tony niskie i dobre wysokie. Powodzenie największe miała dotychczas w „Carmenie“, gdzie oprócz inteligentnego i efektownego śpiewu odznaczyła się grą prawdziwie mistrzowską i wysoce charakterystyczną. W „Giocondzie“ artystka była dobrą Laurą, w „Proroku“ zaś jako Fides za mało zachowywała powagi, szukając przesadnych efektów tak w grze scenicznej jak i w użyciu głosu. Na dalszych przedstawieniach, przyznać należy, jaskrawość tych efektów się zmniejszała. Pan Durot, tenorzysta, był tak doskonałym „prorokiem“, że mógłby nim być śmiało i we... własnym kraju. Tenor to bohaterski w całym znaczeniu tego wyrazu, mający coś z natury skowronka (owego śpiewaka Małki Boskiej, jak go opisał pędzłem Stachiewicz), który naj-

piej i najchętniej śpiewa — na wyżynach. Panu Durot wszystko jedno, czy to *a*, czy *b*, byle było wysoko i mocno — on to wytrzyma doskonale, (lubi i piano śpiewać umie, jak tego daje dowody przy początku „Hugonotów“ oraz przy „końcu Otella“).

A pan Jerzyna? Wszakże i o nim zapomnieć nie można w kronice „wybrańców“. Scena warszawska go wyhodowała, ona też teraz jak czuła macierz otworzyła mu swe ramiona. I wystąpił jej wychowaniec z powodzeniem w „Cavallerii“, dając dowód, że mu się i głos pięknie rozwinął i gra wyrobiła. Bardzo miłe ten „Turridu“ zrobił na nas wrażenie.

Już i papier się kończy, możebyśmy więc skrócili relacją o tych „potępionych“? Przejście do nich stanowić może „słynny“ jakoby kwartet Cellarius'a, w którym, obok dobrze, ale bez tonu granych ansambli, wyróżniała się nie zła gra skrzypcowa 12-to-letniego Cellarius'a i fenomenalny talent 10-cio-letniej wiolonczelistki, jego siostrzyczki Tekluni. Szkoda tak wielkich zdolności, że się w koncertowych marnują podróży!

Lepiej-by także był uczynił pan Schirmann, fortepianista, gdyby był pozostał w Wiedniu i nie raczył nas banalnie frazowanym Szepem i bez dostatecznej techniki granym Lisztem. Jeszcze lepiej byłaby uczyniła pani Hausmann, gdyby była nie przyjeżdżała do nas jako „Carmen“. Lecz o pióro sprawozdawcze! — wstrzymaj twój zapęd jadowity, i o innych „potępionych“ zamknij. Powiedz z Dantem: — „guarda e passa“, co znaczy: „Przejdź mimo (zatkawszy uszy) i... zostaw ich w spokoju“.

Jan Kleczyński.

Korespondencya zagraniczna.

Lwów, w Lutym.

I znów od smutnych wieści rozpocząć musimy naszą kronikę. Dopiero teraz, gdy zima dobiegła już do połowy, możemy obliczyć i zrozumieć jak strasznie klęskami były dla nas zeszłoroczne powodzie i nieurodzaje. Omloty zboża ukończone, tranżakeje kupna i sprzedaży dokonane, pozwalają ocenić ilość, wydajność ziarna i kartofli, a obliczenia tę doprowadzają do rozpaczliwych wniosków i pewników.

Produkcya rolna Galicyi, która zazwyczaj rozchodziła się szeroko po za jej granice, w roku bieżącym wystarczyć nie zdoła na potrzeby miejscowe; mnóstwo gorzelni zamkniętych, brak paszy dla bydła, więc też je sprzedają zabezecen, zarówno jak i konie.

Jedyną w złem pociechą jest rozbudzająca się powoli energia przedsiębiorczości, tak pośród prywatnych instytucji, jak i władz autonomicznych. Zwłaszcza Wydział Krajowy z dumą będzie mógł wspominać rok ubiegły jako taki, w którym udało mu się dokonać zmian zasadniczych nieoszacowanej doniosłości w gospodarstwie społecznym. Przeprowadzona konwersya indemnizacyjna pozwoliła wyprowadzić interessa na czystą, jak to mówią, wodę, uporządkować budżet — który dotychczas corocznie znaczne przedstawiał niedobory, i zająć się wielu palącymi sprawami. Sprzedaż soli, tego najważniejszego dla ludności wszelkich stanów artykułu, przeszła już z rąk prywatnych przedsiębiorców, nakładających na nią ceny dowolne, w ręce Wydziału, na czem oczywiście publiczność zyskać tylko może. Co prawda, i dziś jeszcze ceny soli, zarówno jak i nafty, są w nieproporcjonalnym stosunku do ilości otrzymywanych produktów i blizkości transportu, w każdym jednak razie unormowanie wagi i ceny, już stanowi pożądaną krok naprzód i świadczy o dobrej woli i gorliwości zarządu.

Jako drugi znów szczęśliwy objaw tak w naszym społeczeństwie pożądaną przedsiębiorczości, wymienić można projekt, wchodzący już w sferę

czynu: założenia Towarzystwa handlowo-geograficznego. Instytucje podobne funkcjonują już oddawna na wielką skalę w wielu miastach europejskich, przynosząc w kierunku zarówno praktycznym jak i naukowym nieocenione korzyści. Zadaniem projektowanego towarzystwa u nas będzie nawiązywanie stosunków z zagranicą i głównymi środowiskami handlu i przemysłu bez pośrednictwa agencji zagranicznych, wyszukiwanie źródeł zbytu dla produkcji krajowej, uczestniczenie w wystawach zagranicznych i zainteresowanie ogółu wszelkimi zdobyczami z dziedziny geografii i przemysłu. Ogólnie szanowane i znane nazwiska inicjatorów tego projektu dają mu wszelką rękojmię powodzenia i poważnego, społeczno-naukowego charakteru; czy tylko uda się pozyskać poparcie naszego, zbyt apatycznego, ogółu? Apatya ta spowodowała już upadek wielu pożytecznych zamysłów, projektów a nawet w życie już wprowadzonych instytucji.

Rada miejska naszej stolicy rozwija również niebywałą energią około uporządkowania swoich interesów i zaopatrzenia miasta w konieczne porządki i ulepszenia. W tych dniach właśnie odbywały się na ratuszu lwowskim gorące i ważne obrady nad uchwaleniem rzeczywiście śmiałego i daleko idącego projektu. W myśl dawniejszych już postanowień, zaproponowała Rada miejska zaciągnięcie pożyczki 10 milionów guldenów, spłacanej sposobem amortyzacji w przeciągu lat pięćdziesięciu, a którejby użyto w części na spłacenie dotychczasowych długów gminy, w części zaś na porobienie wkładów koniecznych na cele zdrowotne, ekonomiczne i cywilizacyjne. W szeregu celów, na jakie powyższa summa winna być obrócona, widzimy zaprowadzenie wodociągów, rzeźni miejskiej, bruków kostkowych, założenie miejskiej kasy oszczędności wraz z domem zastawniczym, budowę koszar, szkół, nowego teatru i wiele jeszcze innych ulepszeń, które nasz Lwi gród podniosą do rzędu wielkich miast europejskich. Po długich i ożywionych rozprawach, gdyż wielu radnych obawiało się zaciągnięcia tak znacznej i ryzykownej w każdym razie pożyczki, projekt przyjęto i przedstawiono obradującemu właśnie Sejmowi, który też niechybnie sankcji swej nie odmówi.

Czynności Sejmu były w pierwszych dniach jego zebrania się paraliżowane popłochem, jaki padł na posłów wskutek jakichś niedorzecznych plakatów zapowiadających wysadzenie w powietrze gmachu sejmowego. Pomimo najstaranniejszych poszukiwań policji, nie zdołano wykryć sprawcy tego niesmacznego i karygodnego żartu; przez kilka dni jednak strzeżono pilnie wszystkich wejść, a tok obrad krepowany był, całkiem zresztą zrozumiałą, obawą o bezpieczeństwo własne i całość budowli, stanowiącej ozdobę Lwowa.

Brat namiestnika, hr. Stanisław Badeni, występujący zawsze energicznie i śmiało tam, gdzie się waży kwestya oświaty i sprawiedliwości, przedstawił Sejmowi, zaraz w początku obecnej kadencji, projekt normalniejszego i sprawliwszego rozkładu podatków szkolnych między dwór i gminę.

Dotychczas ta ostatnia ponosiła trzykrotnie większe ciężary niż obszary dworskie. hr. Badeni zaprojektował przeto taki rozkład podatku na cele oświaty, by dwór i gmina przyczyniały się równomiernie do opłacania wydatków szkół ludowych. Memoriał w tym przedmiocie, przedstawiony obecnie Sejmowi za rok ubiegły, okazuje właśnie do jak smutnych rezultatów doprowadził system oszczędności, stosowany z lekceważeniem ciągłych nawoływań prasy i skarg bezpośrednio interessowanych. Pomimo, że w braku uzdolnionych kandydatów rada szkolna rekrutuje zastępcy nauczycieli i nauczycielek z ludzi posiadających zaledwie elementarne wykształcenie; pomimo, że każda inna bodaj najskromniejsza posada ściągła zastępy kandydatów — to jednak wynagrodzenie nauczycielstwa ludowego tak jest niedostateczne a warunki tak uciążliwe, że w roku minionym n. p. 542 klasy nie funkcjonowały wcale z powodu braku sił kierujących. Czyż podobna dziwić się niskiemu poziomowi oświaty, gdy wykazy statystyczne udowodniły, że około 380.000 dzieci w Galicyi do szkół ludowych nie uczęszcza, gdyż szkół niema? Prawdopodobnie stosunki te zmieniają się na lepsze,

bo nie tylko władze krajowe, ale i rząd myśli poważnie o polepszeniu bytu tych cichych a dzielnych pracowników, którzy nawet wśród tak niezachęcających warunków spełniają trudne a zaszczytne swe zadanie po większej części bez zarzutu.

Sprawa gimnazjum żeńskiego, jakkolwiek utonąła zeszłej wiosny w powodzi obaw i skrupułów żywiołów wstecznych, lękających się dla niewieściego świata każdej ścieżki postępu — wypływa znów obecnie na powierzchnię obrad sejmowych. Zdaje się, że tym razem pomyślny rezultat pewnym jest prawie, gdyż z jednej strony sfery rządowe zachowują się przychylnie w kwestyi założenia w Galicyi wyższych szkół żeńskich, a nawet projektują dopuszczenie kobiet do studiów uniwersyteckich, z drugiej i kobiety same zaczynają się krzątać około tej, tak ważnej dla nich, sprawy. Dowiadujemy się właśnie, że zbiera się liczny komitet w celu odbycia narad: jakiego wyższego zakładu naukowego, o jakim zakresie i w jakiej formie najspieszniej dzisiaj kobietom w Galicyi potrzeba? — a zarazem zamierza uchwalić niezbędne na to środki. Na liście osób, do których zaproszenia komitetu mają być rozesłane, znajdują się reprezentacje wszystkich towarzystw kobiecych we Lwowie: kierowniczkę zakładów naukowych prywatnych i publicznych, przedstawicielkę izby poselskiej, Wydziału krajowego, władz wychowawczych, uniwersytetu, gimnazjów, seminariów nauczycielskich, szkół ludowych, a prócz tego wiele wybitnych osobistości obu płci. Inicyatywę w tem dziele wiedzy i postępu dało stowarzyszenie byłych seminarzystek, składające w ten sposób dowód żywotności swej i energii.

Obok tych spraw poważnych młodość i wesołość upominają się o swe prawa. Krótki tegoroczny karnawał musiał być umiejętnie wyzyskany i zachęcał niejako do zabawy. Nie wiadomo jednak: dla czego nie bawiono się w tym roku tak ochoczo, jak to bywało lat poprzednich. Lwów ma w tym kierunku swoją świetną tradycją, a jego bale — ustaloną sławę, tembardziej, że są one przeważnie korporacyjne, a nie dobroczynne; nie szczędzi się więc pieniędzy na wspaniałą dekoracją salonów i różne przyjemne niespodzianki. W ciągu tych kilku tygodni przesunęły się barwnym korowodem: bal techników, prawników, Dublańczyków, starych kawalerów (!), dziennikarzy i literatów. Najlepiej udały się dwa ostatnie, tak pod względem doboru towarzystwa jak i ochoczej zabawy, zwłaszcza bal literatów cieszył się ogromnym poparciem publiczności.

Zapewne z nadejściem postu teatr będzie znów liczniej odwiedzany, a zaś reżyserja postara się o większe ożywienie repertuaru. Zniesienie operetki, jakkolwiek na razie wywołało wiele protestów, powinno jednak skierować smak na poważniejsze szlaki i wzbudzić zamiłowanie do komedji i dramatu.

Opera ożywiła się cokolwiek, dzięki gościnnym występom włoskiej śpiewaczki Elwiry Colonese, u której rutyna zastąpić usiłuje świeżość głosu i wdzięk młodości. O dziale koncertów i muzyki w ogóle, zajmującej w naszym mieście wybitne stanowisko, pomówimy cokolwiek obszerniej w następnym liście.

W. N.

JULIUSZ SŁOWACKI W EGIPCIE.

(27 Września 1836 — 2 Stycznia 1837)

przez

Ferdynanda Hösocka.

(Dalszy ciąg).

Ostatni dzień w Kairze upłynął Słowackiemu i Brzozowskiemu, (który już był z oczami znacznie lepiej) na chodzeniu za sprawunkami i na przygoto-

waniach do podróży. A podróż ta nie zapowiadała się wcale łatwiejszą o wiele, aniżeli żegluga po Nilu. Przeciwnie, należało się spodziewać po niej jeszcze większych niewygód, ponieważ chodziło o przebycie olbrzymiej pustyni Suez (tej, którą tak cudownie opisał Sienkiewicz w swoich „Listach z Afryki“) na wielbłądzie, która-to lokomocya nie należy do liczby najmniej męczących. W każdym razie posiadała ona zarówno dla Słowackiego, jaki dla jego towarzysza, jeden niezaprzewidywany urok: urok nowości. Sama myśl, że mają odbyć podróż na wielbłądzie, całą karawaną, nie mogła się im nie uśmiechać. Od czegoż byli młodzi, żądni wrażeń i przygód nadzwyczajnych?... Zakupiwszy więc, co było potrzeba na drogę (Słowacki między innymi kupił dla matki bardzo ładny płaszcz tunetański z miękkiej flaneli ¹⁾, który jej po powrocie do kraju miał wręczyć Zenon Brzozowski) dnia 15-go Grudnia, po serdecznym pożegnaniu z Hołyńskimi, owym doktorem rodakiem, który leczył Brzozowskiego, i owymi kilku Polakami, którzy im *ciceronowali* po Kairze, puścili się Słowacki z Brzozowskim na Wschód, do Gazy.

Czas był najpiękniejszy, a jazda przez pustynię, w cieniu namiotu, rozpiętego na grzbiecie wielbłąda z dwoma służącymi i w otoczeniu Beduinów zapowiadała się bardzo oryginalnie. Już samo dosiadanie wielbłąda dało im niemało powodu do śmiechu. Ale — bo też nie zabawniejszego w swoim rodzaju wymyślić niepodobna! „Nie wystawisz sobie, droga, pisał o tem Juliusz do matki, jak to dziwnie wsiadać na kłęczącego wielbłąda, jak się to trzeba trzymać siodła, kiedy wielbłąd się podnosi i... trzy razy rzuca człowieka w różne strony, wstając na nogi. Lecząc jeszcze nieprzyjemniej jest siedzieć na nim, kiedy kłęka: zdaje się, że się dom pod człowiekiem wali“. Swoją drogą podobno mu się to wszystko. W swoim białym płaszczu flanelowym arabskim, który sobie kupił była na wyjeździe w Kairze a w którym wyglądał jak krzyżak (porównanie tem trafniejsze, że jechał przeciw do Jerozolimy), uważał, że „życie takie i podróż taka ma dziwny powab“. Wielbłądy, idąc drogą, pasą się wonnym amaryntem; podróżny zamienia się w pasterza; Beduini śpią, gdzie spojrzeć, wszędzie pustynia, piaski, spiekła trawa, kaktusy; gdzieniegdzie stoi palma samotna, cicha, smutna; w powietrzu migie od czasu do czasu jastrząb; niekiedy spotka się stadko gazeli skaczących: słońce grzeje, ale nie dokucza; aż wreszcie, nad wieczorem, zachodzi przepysznie; i tak upływa cały dzień. Z nastaniem zmroku, karawana się zatrzymuje; wielbłądy przykłękają; podróżni zsiadają. Beduini rozpalają ogniska, paląc krzaki cierniowe, które płoną lekkim płomykiem, jak koronki brabanckie; potem zaczyna się gotowanie wieczery i rozbijanie namiotów, najczęściej pod jaką palmą albo skałą; nakoniec zaś, po spożytym posiłku, nocleg na ziemi, na kocach, podesłanych mehem, pod osłoną namiotu, przy migotaniu gwiazd i... wyciu szakali, podobnem do nocnego ujadania naszych psów wiejskich.

Pierwszą noc spędzono w miejscu tak oryginalnym, że, istotnie, tylko na pustyni można sobie w ten sposób lekceważyć ponury majestat śmierci: wychodząc z zasady, że pod jakimkolwiek dachem musi być lepiej spać, aniżeli pod gołym niebem, w namiocie, zdecydowano się nocować... w grobie Szeika, jakiegoś świętego tureckiego. Była to biała kapliczka z kopułką, jakby mały meczecik, złożona z dwóch izdebek, cienkim murem przedzielonych, z dwoma okienkami w murze, przez które zszedłszy do jednej izdebki, widziałeś, co się dzieje w drugiej. W jednej leżał trup Szeika, w drugiej ułożono postanie dla Słowackiego i Brzozowskiego. Na domu, przed grobowcem, koła ognia, leżały, żując paszę, rozjuczone wielbłądy. Przy wielbłądach spali służący i Beduini. Nad kapliczką rosło wielkie czarne drzewo figowe, w którym przez całą noc śpiewał puszczyk ²⁾.

¹⁾ Listy II, 15.

²⁾ Zob. Listy I, 257; *Bibl. Warszawska* 1891, IV, 346.

Nocleg ten, najexcentryczniejszy niezawodnie, jaki wymyślić można, (którego w naszych czasach nie powyszydłaby się nawet Sarah Bernhardt, sypiąca w trumnie) silnie się wraził Słowackiemu w pamięć. Nie dziwnego, że po wielu latach jeszcze, pisząc *Beniowskiego*, kazał bohaterowi swemu w podobnym grobowcu Szeika jedną noc przepędzić, przyczem nie omieszkał wspomnieć, że i jemu zdarzyło się kiedyś coś podobnego:

W mogiłce Szecha—był to grób osobny
Na górach, z białą kopułą glinianą —
Leżał mój rycerz nadzwyczaj podobny
Do męczennika, bowiem go związaneo.

A nad nim śpiewał nocy ptak żałobny
Smutniejszy jeszcze, bo śpiewał za ścianą,
Zrobiwszy wieczną z słowikami ligę:
Oddawszy cyprys im, a czarną figę

Wziąwszy za pałac ¹⁾.

Trudno o plastyczniejszy przykład owego procesu przetwarzania się w umyśle poety—*Wahrheit na Dichtung*. Słowacki tymczasem, nie wiedząc jeszcze, że mu z czasem nocleg ten rymami nieśmiertelnic przyjdzie, zbudziwszy się rano, o wschodzie, „otrząsnął włosy senne z prochu Szecha“ i w dalszą z całą karawaną puścił się drogę. I szli tak tydzień przeszło tą pustynią, którą przed wieki Mojżesz prowadził za sobą lud Izraela z niewoli egipskiej, aż wreszcie dnia 22-go Grudnia stanęli na granicy Egiptu i Syrii, nieopodal miasteczka El-Arish („Arysz“).

Tutaj czekała ich kwarantanna; albowiem, jak w swojej przedmowie do *Ojca zadżumionych* powiada Słowacki, „wymysłem to jest dziwnym Mohomeda-Ali, że między dwoma swojemi państwami naznaczył myślą na błędnym piasku granicę, i pod karą miecza zmusił wolne Beduiny rozbijając w tem miejscu namioty i żyć przez dni kilkanaście pod dozorem straży i lekarza; inaczej nie mogą się dostać z Egiptu do Palestyny“. Słowacki, przybywszy tu, kiedy mu powiedziano, że musi wśród tej smutnej równiny piaszczystej przez dwa tygodnie blisko zamieszkać, nie mógł pojąć zrazu — sam to przyznaje—jak miejsce puste, bez żadnego domu, gładkie jak stół, otoczone dokoła wzgórkami piaszczystymi i nie więcej, może prawu ludzkiemu podlegać; ale, powiada, miecz baszy zdawał się wisieć w błękitnym niebie nad głową jego przewodników Arabów, bo, przybywszy na dolinę kwarantanny, zaraz kazali wielbłodom ukłęknać, „a w twarzach ich czarnych widać było głębokie poddanie się ludzi wolnych pod prawo straszne człowieka“. Po niejakiem czasie zjawił się doktor miejscowy, pan Steble, zrewidował ich, ostukał, opukał, wyznaczył miejsce, gdzie mogli rozpiąć namioty, określił obręb, za który nie wolno im było przechodzić, a dowiedziawszy się (od Brzozowskiego zapewne), że jednym z podróżnych jest... poeta, obiecał wszelkich dołożyć ze swojej strony starań, ażeby im pobyt pod otwartym niebem, o ile możliwości, jak najmniej dokuczliwym uczynić. W tym celu, widząc, że mają tylko jeden namiocik, kazał ze składu wydać jeszcze dwa inne, dla nich i dla Arabów (choć tym ostatnim dostał się tak podarty, że „słońce było w nim panem“), poczem przyrzekł przysyłać im codziennie świeże pieczywo, nie wspomniawszy nawet, że to rączki jego żony grzeznąć będą w białej i srebrnej mące, ażeby dogodzić nieznanym pielgrzymom i nie zostawić ich bez europejskiego chleba.

Po odejściu doktora, z którym mieli się w ciągu tej kwarantanny bliżej zapoznać, ile, że przyjemnie mu było odwiedzać ich od czasu do czasu i rozmawiać o Europie, o Włoszech i mieć przytem do czynienia z cywilizowanymi, intelligentnymi ludźmi, rozbito namioty, wygrzebano w piasku małą kuchenkę, Słowacki rozlokował się w na-

miocie pana Steble, Brzozowski w swoim własnym, aż wreszcie, skoro zdołali się już każdy u siebie urządzić, nie pozostawało im nic innego, tylko siedzieć, czekać i... przywykać powoli do smutnego widoku, jaki ich otaczał. „Opodal nieco rzeczka, sucha prawie aż do dna, przerzynała piasku dolinę i szła do morza, za nią szara wstęga palmowych lasów. Od północy, błękitna szarfa Morza Śródziemnego roztrącała się o piasek i smutnym gwarem fal napełniała ciche nad pustynią powietrze; nad morzem zaś, na piramidalnej piasku mogile, błyszczał białą kopułą mały grobowiec Szeika, straszny, albowiem tam, w jego lochach, składano umarłych z dżumy... Z innych stron wzgórze piaskowe i na nich straży namioty i patrzący na kwarantannę strażnicy w jaskrawych oryentalnych ubiorach; w środku zaś doliny, niby stożec piaskowy, z którego muezin obwoływał donośnym głosem wielkość Boga, rano, wieczorem i w nocy a zaś architektura jego i żółtawa białość nadawały mu pozór.. kościotrupa. Dokoła żadnego mieszkania, gdzieby się można schronić na przypadek deszczu — słowem: pustynia, kraina zastygła, przerażająca swą odrętwiałością, pełną martwoży, — pustynia, o którejby powiedział Sienkiewicz, że odczujesz w niej wszystko, z czego się składa śmierć, nie odczujesz tylko... miłosierdzia ¹⁾.

Atoli spokój ten, pomimo swojego smutku, na skolataną duszę Słowackiego oddziaływał kojąco, zbawiennie, — do tego stopnia, że jeszcze w cztery lata później, w liście do autora *Irydiona*, umieszczonym na czele „Lilli Wenedy“, z niejaką lubością przypominał sobie „złote pustynie Suez, na których, jak powiada, tak mi dobrze było, gdy się tylko za słońcem i gwiazdami kierowałem“. Ta cisza „piaskowego stepu“, zakłócana jedynie melancholijnym szumem morza, do którego mu chodzić pozwalano, wzięwszy z sobą jednego ze strażników kwarantanny, rozmarzała go, nastrojała rzewnie, „podnosiła“. Błękit morski przypominał błękit Jeziora Genewskiego, a ze wspomnieniem Lemanu szło nieodłącznie w parze wspomnienie Maryi. I zapominając o tem, że niedługo może dowie się o jej... ślubie, takich doznawał uczuć, jak te, które później opisał w pieśni VIII Beniowskiego; bo myślał o sobie i o swoich samotnych dumaniach nad brzegiem morza w El-Arish, kiedy pisał następujące oktawy:

Smutno! o smutno samemu
Na morskim brzegu gdzie się fale kładą,
Śpiewając ciągle hymn Nieśmiertelnemu,
Który pustynię roześwieca bladą
Gorącym słońcem! Smutno tam jednemu
Z europejskich pamiątek gromadą
Śród gorącego pustyni kobierca,
Błądzić z strzaskanem sercem, lub bez serca...

Słowacki chętnie powracał wciąż myślą do Maryi Wodzińskiej, znajdował w tem coś w rodzaju duchowego pokarmu, którym odżywiać mógł swoją imaginację. Na takich dumaniach, przerywanych długimi gawędami z Brzozowskim lub z doktorem Steble, który ich odwiedzał często, upływał mu cały dzień. Podczas jednej z takich pogadanek opowiedział im doktor Steble tragiczną historią pewnego starca, który, siedząc tu przez trzy miesiące w kwarantannie, utracił żonę i ośmioro dzieci i został w końcu sam z bratem ¹⁾. Opowiadanie to na Słowackim wstrząsające uczyniło wrażenie. Mimowoli przypomniał mu się „Ugolino“, wyobraźnia jego, wprawiona w ruch, poczęła sobie uprzytomniać ten wypadek na pustyni—i tak zrodził się pomysł *Ojca zadżumionych*.

¹⁾ Listy z Afryki I, 23.

²⁾ Według notatek w raptularzu Słowackiego *Bibl. Warsz.* 1891 IV, 247.

Surowym materiałem również, z którego dałby się niejedną wysnuć poemat wschodni—w rodzaju Moore'a—były opowiadania drogmana ich, Solimana, pięknego Araba z długą brodą, który nieraz, bywało, chodząc ze Słowackim nad morzem i zbierając z nim muszle opowiadał mu swoim włosko-francuzko-anglo-arabskim językiem różne legendy miejscowe jak np. o Mahomecie i jego rozmowie z sarną i wielbłądem; o podaniu, przywiązaniem do wyspy nilowej Philae a które jeden z poetów arabskich, Hara Filedżynt, wyśpiewał bardzo pięknie; o powstaniu w górnym Egipcie, w którym on, Soliman, brał czynny udział...

(Dokończenie nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Do liczby najkorzystniejszych gałęzi pracy kobiet w Rosyi należy uprawa lnu, oraz hodowla drobiu. W 1889 r., jak piszą dzienniki petersburskie, wydała ona (bez Kaukazu) 19.583.641 pudów lnu czystego, w 1890 r. 18.152.560 pudów, w 1891 r. 15.693.197 pudów, w 1892 r. 17.331.123 pudów. Wartość lnu wywiezionego przedstawiała 60.000.000 rs.—Wywóz jaja do Anglii obejmuje co rok około 700 milionów sztuk, które po największej części idą wielkimi partjami przez Rygę, Libawę i Rewel. Największy handel jajami prowadzi firma Thomas Robinson w Western Harlepool'u. Agenci tej firmy zakupują jaja drobnymi partjami i wysyłają do Rygi. Transport jaja trwa zwykle tydzień cały, w Rydze następuje sortowanie i pakowanie do specjalnie na to urządzonych skrzyń i wysyłka do Anglii. Wymieniona firma buduje obecnie w Rydze składy, gdzie jaja przechowywane będą w odpowiedni sposób.

— Na zebraniu członków warszawskiej sekcji rzemieślniczej w dniu 8 lutego wniesiono projekt przypuszczenia kobiet do zgromadzeń rzemieślniczych...

— Rada miejska dobroczynności publicznej zatwierdziła zapis s. p. Pauliny Zbyszewskiej, którym-to aktem zmarła przeznaczyła dla War. Tow. Dobroczynności 15.000 rs. na utrzymanie z procentu ochrony nazwiska Zbyszewskich dla biednych dzieci. Rada zatwierdziła obok tego zapis testamentowy s. p. Florentyny Koskowskiej, przeznaczający Tow. Dobroczynności 5.000 rs. w listach zastawnych ziemskich na cel kształcenia z procentu córki urzędnika, pochodzenia polskiego, wyznania rzymsko-katolickiego.

— Pod kierunkiem doświadczonej hodowczynie jedwabników urządzona będzie za nadejściem wiosny wzorowa hodowla jedwabników przy parku sieleckim za rogatką belwederską, gdzie panie pragnące się obeznać z tą pożyteczną gałęzią pracy kobiecej znajdą do tego sposobność. Dla powzięcia bliższych objaśnień zgłaszać się należy do biura Tow. Jedwabniczego (Nowy-Swiat, Nr. 41). Zamówienia na jajeczka czynić tam można w ciągu dwóch bieżących tygodni.

— W Dreźnie powstać ma biuro porady prawnej dla kobiet klas wszelkich. Kobiety w ogóle nie znają przepisów obowiązujących je jako członków społeczeństwa swego, nieświadome też są praw przysługujących im w rodzinie, ztąd bywają narazone bardzo często na stratę mienia i należnego im stanowiska wśród tej rodziny. W razie jakiegokolwiek zatargu co do interesów pieniężnych, lub osobistych, adwokat stowarzyszenia wskaże kobiecie drogę postępowania, biorąc obronę sprawy na siebie, jeżeli będzie to wolą klientki. Obok tego Stowarzyszenie urządzać będzie wykłady prawa obo-

¹⁾ Beniowski, Część druga, pieśń IX-ta, pisma pośm. II, pag. 63.

wiązującego kobietę jako obywatelkę, żonę i matkę, a zarazem przysługującego jej jako takiej. Wiedzą, jakiej tu nabeędzie, służyć ona będzie mogła stowarzyszona kobietom tych klas niższych, które nie umieją radzić sobie w potrzebie i wskutek tego wpadają w sieci doradców pokątnych.

— W Hamburgu istniejące stowarzyszenie kobiet niezamężnych, wdów czy panien, cieszy się takim poparciem publiczności, że fundusz stowarzyszenia doszedł z darów, oraz zapisów testamentowych do 277.000 marek kapitału i w przeddzień Bożego Narodzenia 120 kobiet ubogich otrzymało roczną pensję swoją, 100 marek. Oprócz tego stowarzyszenie rozdało tytułem kolendy dziewięćdziesięciu osobom od 50 do 12 marek, złożywszy oprócz tego 1.000 na wspomnienie nędzy wyjątkowej.

— Mlle Klumpke, poświęcającą się w obserwatorium paryżkiem studiom astronomicznym wygłosiła w Sorbonnie jako rozprawę na doktorat studium o pierścieniach Saturna, na co odpowiedział jej w sposób bardzo pochlebny członek uniwersytetu paryżkiego, Darbours, wykazując, że kobieta nie jest i nie była nigdy odpychaną od źródła wiedzy wyższej, skoro tylko praca jej w tych kierunkach była przez nią traktowana poważnie i przynosiła coś do skarbcza wiedzy ludzkiej. Kobieta ma prawo, równo dla całej ludzkości, do tej szlachetnej pracy naukowej, tylko nie należy jej opuszczać z tego powodu obowiązków swoich w rodzinie i wskutek tego wypadają jej uczynić wybór, w którą stronę zwrócić się pragnie.

— Angielskie *Narodowe Stowarzyszenie zdrowia*, którego członkami są też kobiety, i to w liczbie dość znacznej, urządziło wykłady dla kobiet w zakresie tak higieny, jak i pewnej pomocy lekarskiej w razie potrzeby nagłej, lub w miejscowościach o tyle oddalonych od miejsc zamieszkania lekarzy, że pomoc ich nie może być uzyskana. Szesnaście kobiet dobrego serca stało się wykładów tych słuchaczkami, a między nimi miss Lancaster, która zawiązała stowarzyszenie misyjne zdrowia, to jest związek kobiet, które wzięły sobie za zadanie rozszerzanie pomiędzy kobietami klas mniej wykształconych i mniej zamożnych wiadomości potrzebnych w tym zakresie, miewają odczyty bezpłatne, tak na przedmieściach Londynu, jak i po wsiach, po miasteczkach małych.

— Stowarzyszenie kobiet angielskich pod nazwą „Stowarzyszenie Pionierek“ zawiązało się w Londynie z rozgałęzieniem na wszystkie prowincje Wielkiej Brytanii w celu rozpowszechnienia pojęć pedagogicznych i potrzeby posiadania pewnej wiedzy w tym kierunku. Na czele stowarzyszenia stoi miss Edyta Bradley, panna doletnia, osoba zamożna, poświęcona sprawom miłosierdzia w zakresie wychowania.

— Miss Hubbard urządziła w Londynie bezpłatne odczyty, w dzielnicach zamieszkałych przeważnie przez rzemieślników i w ogóle przez klasy mniej zamożne, których ma być dwie serye w zakresie pracy kobiecej i praw kobiety. Kobieta mężatka obowiązana jest do pracy wspomagającej pracę męża, ale w takim zakresie, aby mogła spełniać obowiązki swoje matki i dobrej gospodyni domu, bo pracująca inaczej z konieczności wielu powinnościom swoim zadość nie uczyni, a w dodatku nie przyniesie to rodzinie korzyści żadnej, gdyż kupowanie tego wszystkiego za pieniądze, coby w domu jako gospodyni wykonała pochłonęła cały jej zarobek.

— Amerykanka rodem z Ameryki Północnej, Maina Caston, wynalazła sygnały nowego rodzaju, które nie tylko na lądzie, ale i na morzu działać mogą z wielką dla marynarzy pomocą w razie wypadków i potrzeby wezwania pomocy. Nagro-

dy rządowej jaka za to jej przypadała w sumie dość znacznej, nie przyjęła, przekazując ją dla wdów i sierot po marynarzach, którzy zginęli na morzu. Pierwszeństwo mieć będą marynarze pochodzący z Walii, która jest rodzinnym miejscem tej pani.

— W Szwajcaryi w kantonie Graubünden, w mieście, Münster, zmarła osiemdziesiąt trzy lat licząca kobieta, Karolina Landmark, która siedemdziesiąt lat przeszła w jednej i tej samej rodzinie, u rodziców, a potem u dzieci, nianząc w końcu wnuczęta. Pracodawcy jej wzniesli na mogile uczciwej tej kobiety pomnik, na którym skreślona została historia jej cnót, jej dobrego, wdzięcznego serca. Jest to u stóp kamiennego krzyża oparta kolumna z ciemnego marmuru na której wyryta historia tego czystego, użytecznego życia.

Z bieżącej chwili.

— Donoszą z Petersburga, iż ministerium spraw wewnętrznych złożyło do Rady Państwa projekt organizacji prywatnych szpitali miejskich i wiejskich. W projekcie przeprowadzono zasadę jedności w organizacji, oraz zależności zakładów od ministerium.

— Z Moskwy piszą, że władze wyższe dążąc do tego, aby działalność Banku Włościańskiego rozwijała się pożytecznie, postanowiły przeprowadzić rewizję całego prawodawstwa dotyczącego włościan.

— W Niżnym Nowogrodzie ma być urządzony szereg stacji meteorologicznych. Dzienniki donosząc o tem czynią uwagę, że byłoby rzeczą wielce dla rolnictwa pożyteczną, gdyby stacje takie zostały utworzone przy instytucjach naukowych w punktach różnych.

— Na warszawskie domy zarobkowe złożono dotąd 14.468 rs. P. Wład. Kiślański ofiarował w tych dniach 2.500 rs.

— P. Lund, brandmajster II-go oddziału straży ogniowej wynalazł nowy przyrząd ratunkowy w kształcie siatkowego kosza z wygodnym wejściem. Próba praktyczności przyrządu odbyła się pomyślnie w d. 11-ym b. m. w dziedzińcu teatralnym w obecności władzy miejskiej i zaproszonych osób. Przyrząd kierowany dowolnie spuszczał z szóstego piętra po jednej, po dwie, po trzy osoby, przyczem strażacy odznaczyli się wielką śmiałością i dzielnością, wspinając się i schodząc po drabinie ręcznej na szóste piętro. Konsul francuzki, Boyard, znajdował się na próbie z polecenia swego rządu, a to w celu, aby złożył i przesłał do Paryża szczegółowe z próby tej sprawozdanie.

— Muzeum rzemiosł otrzymało w tych czasach liczne dary: od p. Stan. Siennickiego 210 okazów starych naczyń miedzianych, okuć żelaznych, kluczy, zamków, kłódek; od p. Feliksa Rycerskiego zbiór rzeźb maszynowych i mineralów, zakupionych na wystawie w Chicago. Obok tego złożono kilka kosztownych dzieł o sztuce stosowanej do przemysłu, a zarząd muzeum sprowadził z Monachium bogaty zbiór ozdób stylowych ze stali żelaza i brązu.

— Komitet obywatelski, zawiązany w mieście naszym z powodu cholery, urządził swym kosztem i utrzymaniem w r. 1893 dwa przytulki noclegowe, a mianowicie: przy ulicy Smolnej N. 14—16 i na Lesznie Nr 96—98. W przytulkach tych znajduje

się pomieszczenie oddzielne dla kobiet, oddzielne dla mężczyzn; za nocleg wraz z wieczną, składającą się z dużego kubka osłodzonej herbaty i funta razowego chleba, płaci się 4 kop. Od dnia otwarcia przytułków do 1-go Stycznia przebywało na ulicy Smolnej w ciągu 314 nocy 35,770 osób, to jest biorąc przeciętnie 115 osób na noc, na Lesznie w ciągu 266 nocy 20,081 osób, przeciętnie 77 osób na noc, a dodać należy, że od 22-go października do dnia 1-go grudnia przytułek ten był wyłącznie przeznaczony dla izolowanych. Dochód z opłaty przyniósł 2,234 rs.

— *Encyklopedia Rolnicza* podniosła w artykule „Gospodarstwo włościańskie“ potrzebę książek przeznaczonych na czytanie dla ludu wiejskiego, w zakresie postępu gospodarskiego. Czynnąc zadość tej potrzebie *Gazeta Świąteczna* i *Księgarnia krajowa* wydaje książeczki, dla pożytku gospodarzy i rolników, rzeczywiście przynoszące czytelnikom swoim wielki pożytek, bo czytane są bardzo chętnie, nawet chętniej i z książeczek tych wytworzyła się już biblioteczka niemała. Jak największe rozpowszechnienie tych broszurek agronomicznych byłoby rzeczą wielkiego pożytku dla drobnych właścicieli ziemskich; obecnie wyszła nakładem *Gazety Świątecznej* jedna z takich książeczek „Pszenica, jej różne gatunki i uprawa“ przez Maryana Prawdźca „rolnika uczonego.“ Mieszczą się tam uwagi, jakie gatunki pszenicy najlepiej się udają na glebie naszej, jak uprawianą być ona powinna i tam dalej.

— *Tydzien* Piotrkowski podniósł w łamach swoich rzecz pożyteczną o szkolnych kasach oszczędności. Zaprowadzone we Francji przed piętnastu laty, rozwijają się one bardzo pomyślnie, przyuczając młode pokolenie do oszczędności przez wykazane im dobitnie jej skutki. W roku 1878 było przy francuzkich szkołach 10.440 kas takich, które wydały 224.280 książeczek na sumę 3.602.621 franków. W 1891 r. istniało ich już 19.631 i książeczek wydano 438.967, a ogólna suma wkładów dosięgnęła 13.242,249 fr. Jest to niewątpliwie zaprawianie młodzieży do oszczędności, byle tylko drugostronnie wskazano tej młodzieży, że są inne jeszcze, skarby droższe nad pieniądze, który uważać się powinno jedynie za środek nie za cel w życiu.

— Stacja doświadczalna w Sobieszynie podała do wiadomości ogółu za pośrednictwem sprawozdania wydanego w broszurce, zawierającej dwadzieścia kilka stron, iż zorganizowana w 1886 roku przez komitet Towarzystwa osad rolnych otrzymała wydzielonych sobie pod pola próbne 19 hektarów gleby różnorodnej, poczynając od wziętej żółtej gliny, aż do lekkiego piasku. W przeciągu lat sześciu (od r. 1880 do 1892) czyniono doświadczenia porównawcze z różnymi odmianami roślin gospodarczych, a mianowicie z 18 gatunkami krajowej i zagranicznej pszenicy, 10 gatunkami żyta i kilku gatunkami zboża jarego, oraz z kartoflami i burakami cukrowymi. Od 1892 r. stacja rozszerzyła swoją działalność, uczyniono ją bowiem ogniskiem prób z odmianami wielu roślin, wykonywanych w różnych stronach kraju według wskazówek stacyi.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się Tom II, ark. 3-ci powieści pod tytułem: **Z biegiem fal**, przez M. Braddon, przekład z angielskiego.

TREŚĆ: Pogawędka, przez ?? — Dr Antoni Józef Rolle (dokończenie). — Pierwszy występ nowella Sewera (dalszy ciąg). — Ruch muzyczny, przez Jana Kleczyńskiego. — Korrespondencja zagraniczna przez W. N. — Juliusz Słowacki w Egipcie, przez Ferdynanda Hosićka (dalszy ciąg). — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 3-ci T. II, **Z biegiem fal**, powieść, przez M. Braddon. — Przegląd mód. — 19 wzorów i robót z opisem. Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.